

Inne pieśni

fragment

Krzesiwa przestały krzesać skry, zapalki przestały się zapalać, z keraunetów i pyresider nie dało się już strzelać – po tym poznaliśmy, iż przybył Czarnoksiężnik.

Pierwsze samobójstwa wśród żołnierzy nastąpiły już nazajutrz wieczorem. Był to drugi miesiąc oblężenia i miałem pod swoim dowództwem blisko siedmiuset ludzi, nie licząc sześciu tysięcy mieszkańców Kolenicy, którzy pozostali w domach. Nikt nie prowadził rachuby samobójstw mieszczan.

W owym czasie chodziłem w morfie wielkiego strategosa, wojska zaprzysięgały lojalność na sam mój widok, bitwy wygrywały się, ledwo spojrzałem na pole, rozkazy były wykonywane, zanim do końca je wypowiedziałem, czułem, jak keros ugina się pod moimi stopami, miałem ponad siedem pusów wzrostu, nie było w Kolenicy łoża wystarczająco dużego, miałem dwadzieścia cztery lata i nigdy dotąd nie przegrałem bitwy, armie, zamki, miasta, krainy, wszystko przede mną, nie było marzenia wystarczająco dużego. Potem przybył Czarnoksiężnik.

Musisz wiedzieć, dlaczego w ogóle utknąłem w tej Kolenicy. Głównodowodzący armii Vistulii, marszałek Sławski, z polecenia Kazimira III zarządził kontrofensywę wzdłuż karpackiego pogórza, Goci mieli natomiast pójść z północy i zepchnąć siły Czarnoksiężnika z powrotem na linię Moskwy. Na mapach wyglądało to jak klasyczna podkowa: przeciwnik albo sam się cofnie, albo będzie musiał walczyć na dwóch frontach, klęska na każdym równie tragiczna, albo zaryzykować uderzenie w pozornie odsłonięty środek, z pewnością w pułapkę, która zamknie się zaraz w śmiertelny kocioł. Aby jednak przeprowadzić tę południowo-wschodnią kontrofensywę, Sławski potrzebował licznego wojska, i to złożonego z weteranów, i zebrał ich, uszczuplając dwu-, trzykrotnie jednostki obsadzające wewnątrz owej podkowy. W Martiusie miałem trzy tysiące ludzi, w Aprilisie został mi niecały tysiąc. Sławski rozumował poprawnie: nawet po takim osłabieniu obrońców strategosi Czarnoksiężnika musieliby być niespełna rozumu, by ruszyć na centralne twierdze Vistulii. Założenie było takie, że się cofną. Jak wiesz, nie cofnęły się.

Przez Aprilis utrzymaliśmy się bez większych problemów. Codziennie chadzałem na szczyt kolenickiego minaretu, miałem stamtąd doskonały widok na podgrodzie i pola, aż do puszczy. Przez kilka tygodni wypuszczałem jeszcze regularne zwiady konne, rozstawiłem posterunki w okolicznych wsiach w dorzeczu Vistuli na linii trzystu stadionów, utrzymywaliśmy stałą łączność z Cracovią. W istocie odpowiadałem za blisko tysięcstadionową linię frontu, od Brotty do Cierebuża, podlegała mi większość garnizonów Mazovii. W teorii, to jest według strategii Sławskiego, powinienem był dostawać od nich i od sztabu codzienne raporty o ruchach wojsk Moskwy i na pierwsze oznaki odwrotu przesunąć za nimi cały centralny front; byłem więc głównodowodzącym Armii Zachód i taką klęskę zapisano mi w księgach. Raporty jednak od początku nadchodziły rzadko i z opóźnieniem, jeśli w ogóle, a własne posterunki i czujki musiałem zwinąć, gdy wróg podciągnął większe siły, jednej nocy spalili nam trzy wsie, to była granica rozsądnego ryzyka. Zwiady też wracały coraz bardziej poszarpane. Z przesłuchań pochwyconych języków wiedziałem, że oto podchodzi do nas Trepiej Słoneczko, wnuk Iwana Karła, z około dziesięcioletnią hordą uralską. Oczywiście od razu posłałem umyślnego do Cracovii, bo to była informacja wskazująca, iż zdecydowali się jednak na strategię frontального ataku; spodziewałem się natychmiastowych wzmocnień. Wzmocnienia nie nadeszły, zostaliśmy odcięci, Trepiej wszedł głęboko i obsadził wszystkie mosty i brody przed i za nami. Przyszło zdać się na gołębie. Ale to już była loteria, Moskwianie przywieźli ze sobą przemyślnie podmorfowane jastrzębie, dziewięć na dziesięć posłańczych ptaków dopadały one jeszcze na niebie nad Kolenicą, widzieliśmy, jak rozszarpują je na strzępy. Tak czy

owak, Sławski nakazywał nam „utrzymanie grodu za wszelką cenę”, Kolenica była punktem kluczowym, najjeźdźca nie mógł zostawić jej sobie za plecami, ominąć – dlatego właśnie powierzono ją Hieronimowi Berbelekowi.

Byliśmy dobrze przygotowani do oblężenia. Ściągnąłem wcześniej demiurgosów ge dla reperacji murów miejskich, zgromadziłem zapasy, pogłębiłem studnie. W Kolenicy mieszkał też od lat półdziki teknites somy, do Martiusa nikt nawet nie zachorował. Potem rozpoczęła się wymiana ognia, pyresidery grzmiały dniem i nocą, ofiary były nie do uniknięcia. Pewien jednak jestem, że Trepiej znacznie bardziej ucierpiał, miałem dobrych żołnierzy, dobrych aresów, wprawnych puszkarzy, sięgaliśmy zawsze dalej, strzelaliśmy celniej, rozbijaliśmy pyresidery i prochownie Moskwian. Raz spróbowali otwartego szturm, odparliśmy praktycznie bez strat. Morale było dobre, w moim wojsku morale zawsze było dobre. Poprowadziłem dwie nocne wycieczki, spaliliśmy im część taboru. Pozostawało kwestią czasu, kiedy podciągnie do nas Sławski, z posiłkami albo zamykając okrążenie od południa. Co prawda, tamci mieli ze sobą demiurgosa meteo, od tygodni nie spadła ni kropla deszczu, wszystko wyszło na wiór. Liczyli na pożar – ale solidnie przeszkoliłem mieszczan, zniszczenia były minimalne. Trzymaliśmy się.

Z początkiem Maiusa posiłki istotnie zaczęły nadchodzić – posiłki dla Trepieja. Patrzyłem z minaretu, jak rozciągają obóz na otaczającej Kolenicę równinie, rzędy identycznych, jednokolorowych namiotów na samej linii horyzontu. Nic dobrego nie przychodziło z liczenia ich, i tak najbardziej przerażają szeregi niewidoczne, skryte za widnokrzem. Ci nowi przyprowadzili ze sobą behemoty oraz rozmaite uralskie kakomorfy, czarny pomiot z hodowli Czarnoksiężnika – pewny znak, że zbliża się sam Iwan Karzeł z głównymi siłami. Ghule, ukraki, wielnice, wymorfowane od zwierząt do ludzi, albo jeszcze potworniej, od ludzi do zwierząt. Spuszczali je z łańcuchów o zmierzchu, podchodziły pod mury, wspinały się aż pod blanki, niektóre potrafiły mówić, szeptały w czarnych językach z bezksiężycowej ciemności, żołnierze tracili nerwy, strzelali na oślep, marnowanie pyrosu. Ukraki przerzucano nam z zaskoczenia przez mury katapultami, już martwe, Trepiejowi chodziło o rozprzestrzenienie w mieście tych wszystkich zaraz, jakie one noszą w swoich worach brzusznych, napiętych od rozgotowanego moru niczym bębny. Wiedzieliśmy już, że będzie to długie oblężenie, skoro chcieli nas wziąć kakomorfią. Może mieli między sobą szalonych teknitesów, którzy z premedytacją rozpościerali na Kolenicę chore anthosy, korony rozkładu Formy; ale wątpię, to zawsze wielkie ryzyko dla wojska, ciągnąć ze sobą kogoś takiego, wariatów z zasady nie sposób kontrolować, pierwsza gnije dyscyplina. A może po prostu nasz teknites ciała trzymał nas tak ciasno w swojej aurze. W każdym razie epidemia nie wybuchła.

Miałem plany ucieczki, gotowe od początku. Przebić się w niespodziewanym momencie, szybki klin – i cwałem na zachód. Lecz problem stanowili oczywiście cywile, ich bym tak nie uratował. Moi setnicy podnosili jednak argumenty czysto militarne: tutaj, siedząc w zamknięciu, po prostu marnuję to wojsko, podczas gdy bogowie wiedzą, co dzieje się w szerokim świecie, czy Vistulia właśnie nie pada pod batem Karła, Światowid pod snem Czarnoksiężnika, kto wie, moglibyśmy przeważyć szalę na drugą stronę, ja mógłbym.

W czwartym tygodniu Maiusa zaczęła krążyć plotka o klęsce głównych sił Sławskiego, i że król Kazimir uciekł z Cracovii, a Światowid umyka do puszczy zachodnich. Nie można było jeszcze tego poczuć, ale ludzie tak mocno w plotkę uwierzyli, że na jedno wychodziło, prawda czy zmyślenie, duch począł upadać. Wygłosiłem kilka mów; pomagały na krótko.

Z początkiem Juniusa sam już czułem, że następuje zmiana. Nie dało się tego ukryć przed ludźmi, wystarczyło rzucić na ziemię garść patyków, połowa upadała zawsze w jakichś geometrycznych wzorach, kwadrat, oktagon, pentagram, gwiazda, znasz pieczęcie Czarnoksiężnika. Garść patyków, piachu, zamącić wodę, uwolnić dym... On się zbliżał, na nic publiczne zaprzeczenia, musiał być zejść z Uralu z początkiem wiosny, na pewno minął już Moskwę, szedł na zachód, wprost ku nam.

Przynajmniej w jego koronie nie groziły mi bunty i histeria przerażonego pospólstwa, z każdym

dniem rosła karność i posłuszeństwo, koleniczanie wkrótce padali przede mną na twarz, mało nie lizali butów. Z początku obruszałem się na to, ale anthos Czarnoksiężnika wżerał się i we mnie, po tygodniu kazałem wybatożyć jakiegoś kłótliwego kupca, gdy nie uderzył przede mną czołem o ziemię. Niebo było jasne, bezchmurne, gorący błękit vistulskiego lata, lecz wszyscyśmy wiedzieli, że to podle kłamstwo Materii.

Obóz Iwana Karła puchł wokół miasta niczym wrzód wokół otwartej rany. W nocy ognie, muzyka, świętowali. Przestali nas ostrzeliwać i to było najbardziej niepokojące. Myślałem o kolejnej wycieczce, żeby przynajmniej złapać języka, dowiedzieć się, jakie mają plany, co się dzieje. Ostatni gołąb dotarł do nas przed sześcioma tygodniami, byliśmy odcięci, świat poza zasięgiem spojrzenia z wieży nie istniał.

Potem krzesiwa przestały krzesać skry, zapalki przestały się zapalać, pyros już nie wybuchał. Wartownicy na nocnych czuwaniach poczęli rzucać się z blanków, wprost w objęcia chichoczących ghuli i ukraak. Słoneczko, to znaczy Karzeł, wycofał swe wojska pod samą granicę puszczy, teraz już oblężenie polegało na zupełnie czym innym. O zmierzchu stanął pod bramą herold. „Złóżcie broń i otwórzcie wrota, a daruję wam życie. Tak czy inaczej, padniecie mu do stóp, żywi lub martwi. Przybył. Czeka. Otwórzcie wrota. Jeden jest porządek na świecie, jeden władca. Oto jego cień. Otwórzcie wrota. Do Kolenicy przybył kratistos Maksym Rog!” Kazałem kusznikom zastrzelić tego herolda i strzelać z miejsca do wszystkich następnych, jakiegokolwiek barwy by okazywali.

Maksym Rog, Czarnoksiężnik, Olbryzm Uralski, Wieczny Wdowiec, kratistos-suzeren Moskwy, czarna legenda Europy, bohater setek romantycznych dramatów, robak historii, strach niepokonany o tysiącu imion – ujrzałem go po raz pierwszy rankiem czwartego Quintilisa. Z minaretu, przez lunetę. Jechał samotnie środkiem ziemi niczyjej między linią okopów armii Iwana Karła i murami Kolenicy, objeżdżał miasto dokoła. Dosiadał jakiegoś rogatego zoomorfa o czarnej jak węgiel sierści i wysokim, wygiętym grzbiecie, pochodzącego od wielbłądów lub humijów, i dopiero po kilku minutach dotarły do mnie prawdziwe proporcje obrazu: na tak wielkim wierzchowcu siedząc, człowiek, którego widzę, sam musi mieć co najmniej osiem pusów wzrostu. A sprawiał wrażenie raczej krępego, barczystego siłacza niż kościstego chudzielca. Było gorąco, miał na sobie tylko białą koszulę i spodnie. Nie widziałem twarzy, jeno grzywę ciemnych włosów, czarny zarost. Raz obrócił ku mnie głowę, byłem pewien, że mnie dojrzał, niemożliwe, ale ja byłem pewien, mało nie upuściłem lunety. Musisz to zrozumieć: już wtedy wystarczyło mu spojrzeć na mnie. Schodząc z wieży, odliczałem stopnie jak minuty pozostałe do egzekucji. Wiedziałem, że wygra. Wiedziałem, że nie mamy szans. Należało otworzyć bramy. To był Czarnoksiężnik.

Żołnierze też go widzieli; o to mu chodziło, to już była przecież czysta walka o narzucenie woli, Forma przeciwko Formie. Wygłosiłem kolejną mowę. „Nie pozwolę na szerzenie strachu, próby ucieczki karane będą śmiercią. Nie wedrą się tu, jeśli sami ich nie wpuścimy. Czekać! Pomoc w drodze!”

Czarnoksiężnik krążył dokoła miasta niczym wilk wokół ognia, dzień w dzień, noc w noc, samotna sylwetka na pustym polu, regularny niczym czarna gwiazda, zegar słoneczny kłęski. Z każdą godziną zapadaliśmy się głębiej w jego anthos. Nie wiem, czy taką już ma koronę, czy też dla nas wybrał akurat tę morfę, w każdym razie to, ku czemu zmierzał keros Kolenicy, Forma docelowa... Przyciągała nas nicość, pustka, bezruch, martwota, cisza i doskonały porządek śmierci. Czy miałeś kiedyś takie poczucie – jak bardzo nienaturalne, dziwne i przerażające jest to, że w ogóle żyjesz, że oddychasz, poruszasz się, mówisz, jesz, wydalasz, co za absurdy, co za perwersje, ohyda ciepłego ciała, ślina, krew, żółć, krąży to w środku, obraca się w miękkich organach, przecież nie ma prawa, przecież nie powinno, przyłóż dłoń do piersi, co to jest, co tam bije, na bogów, tego nie można wytrzymać, zgroza i obrzydzenie, wyrwij, zniszcz, zatrzymaj, wróć do ziemi.

Przeżuwał nas.

Wychodziłem na puste ulice, już chyba tylko ja jeden miałem dość siły, by wspiąć się na wieżę, obejść

mury, sprawdzić posterunki, po prawdzie nie było co sprawdzać, ci, którzy na nich jeszcze pozostali, pozostali nie z obowiązku czy strachu przede mną, lecz ponieważ to akurat nie wymagało żadnego ruchu, decyzji, impulsu woli; już prawie nie żyli. Często nie potrafiłem odróżnić martwych od śpiących, nie jedli, nie pili, zasypiali w moczu i gównie. Gdy któregoś wieczora wróciłem do kwater, zastałem mojego zastępcę i trzech setników śpiących w izbie odpraw; potem powąchałem ich kielichy: nie spali, wypili w winie migdałową truciznę.

Quintilis przeszedł w Sextilis, nie miałem już w co się odziać, wszystkie moje ubrania okazywały się o wiele za duże, podwijałem nogawki, zaciągałem pasa, ciąłem rękawy, z jakiegoś trupa skradłem buty. Inni mieli ten sam problem, już wcześniej się skarżyli; ale też większość nie przejmowała się w ogóle, chodzili nadzy, zbroi dawno już nie wdziewali. Próbowałem utrzymać rygor przynajmniej wśród oficerów. Żadne groźby nie skutkowały. Nabrałem zwyczaju nocnych spacerów, nie mogłem zasnąć w tym ogromnym łożu, chodziłem, by podpatrzeć, podsłuchać, jakie są nastroje, o czym rozmawiają, żołnierze i koleniczanie. Ale wtedy już nie było czego podsłuchiwać, swobodna rozmowa stanowiła taką samą rzadkość, co śmiech, Formą Kolenicy stało się Milczenie.

Nie mogłem pojąć, dlaczego nie atakują, wdarliby się na mury w pierwszym szturmie, nikt by nie stanął do obrony. Czyż tego nie wiedzieli, czy nie wiedział Czarnoksiężnik? Zamiast tego dni, tygodnie, miesiące w jego koronie, miasto i ludzie, czy on nas zabijał, nie, czy sami się zabijaliśmy, nie, po prostu podobieństwo do śmierci przeważało nad podobieństwem do życia. Tak samo drzewa, trawa, zwierzęta – skarłale, blade, suche, jeśli żywe, to konające. Tylko kratistos potrafiły w podobnej aurze utrzymać swą Formę.

Ja po prawdzie nie bardzo nawet pamiętam ten czas, pamięć mi się wypaliła. Oczywiście nie chodziło o to, żeby się nie poddać, nie wierzyć księżkom. Wtedy nie chodziło już o nic. Prawdopodobnie gdyby ktoś ich poderwał, zakrzyknął, by otworzyć bramy... Ale nikt nie był już zdolny. Liczyłem uderzenia swego serca, żeby się przekonać, że istnieje jeszcze jakiś „ja”, jakiś Hieronim Berbelek, jakikolwiek. Potem się dowiedziałem, że w ostatnich dniach pozostawałem jedynym żywym człowiekiem w Kolenicy, w każdym razie jedynym przytomnym – wyobrażasz sobie, na ile byłem przytomny, skoro nie posiadam z owych dni żadnych wspomnień. Tylko to: upiornie wielkie Słońce na jasnym błękitnie nieba.

No i oczywiście wspomnienie ostatnie, gdy już wszedł do miasta. Teraz sądzę, że istotnie szukał mnie. Znał mnie przecież, to znaczy – powiedzieli mu, kto tu dowodzi. Bo to – zrozum – to jest jedyne zwycięstwo kratistosów: nie przez zniszczenie, wyczerpanie, ucieczkę wroga, lecz przez jego dobrowolny hołd. Na ile jakikolwiek nasz czyn na tym świecie można nazwać dobrowolnym. To jest ich tryumf.

Wszedł sam, to się zgadza z legendą, on zawsze wchodzi pierwszy, bierze w posiadanie. Nie jestem pewien, czy ja to poczułem i wystąpiłem mu naprzeciw, czy też on znalazł mnie na tej ulicy. Południe, upał, żadnych cieni. Ujrzałem go wylaniającego się zza zakrętu, był pieszo, w lewej dłoni nahajka, uderzał nią rytmicznie o udo. Krok za krokiem, powoli, to był spacer victora, a każde miejsce, przez które przeszedł, każdy dom, który minął, każda rzecz, na którą spojrzął – naprawdę zdawało mi się, że widzę tę płynącą przez keros zmarszczkę morfy – każda rzecz była odtąd bardziej jak Czarnoksiężnik. Zastał mnie na ziemi i podczas gdy on ku mnie szedł, ja próbowałem podźwignąć się na nogi. Dawno już nic nie jadłem, jedzenie było nie do pomyślenia, najchętniej zostałbym na czworakach, wiedziałem, że powinienem zostać na czworakach, na kolanach, z głową w pyle, ucałować mu stopy, gdy się zbliży, to należało uczynić, to było naturalne, ku temu wszystko zmierzało – spróbuj zrozumieć, chociaż to tylko słowa – gdy uniosłem wzrok, przesłaniał pół nieba, to jest olbrzym, przerósł rodzaj ludzki, nie sięgamy mu ramienia, piersi, on jest ponad, my jesteśmy pod, ziemia, pył, brud, na kolanach, na kolanach – spróbuj zrozumieć – nic nie musiał mówić, stanął nade mną, nahajka o udo, tuk-tuk, coś tam bełkotałem, chyba jęczałem błagalnie, ślina na brodzie, głowa zwieszona, ale nadal się podnoszę, noga, ręka, podpierając się i drząc, on stoi, czeka, czułem jego zapach, coś jak te migdały z ust samobójców,

a może zapach jego korony – spróbuj zrozumieć, ja sam nie rozumiem – wstałem, uniosłem wzrok, wpółślepiiony, spojrzałem mu w oczy, niebieskie źrenice, opalona skóra, uśmiechał się pod wąsem, co miał oznaczać ten uśmiech, śni mi się do dzisiaj, uśmiech tryumfującego kratistosa. Czy ty to rozumiesz? Wyrzekłby słowo, a wyrwałbym sobie serce, by go zadowolić.

Splunąłem mu w twarz.

Jacek Dukaj

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)